Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 48.

dnia 30. Października 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

(Ciąg dalszy).

Proszów, ogromna majętność, składająca się z dwunastu wsi od niepamiętnych czasów należała do hr. Zalińskich, przechodząc na potomków po mieczu, którzy obowiązani byli linji żeńskiej spłacać bogate wiana, byle tylko majątek ojczysty nie przeszedł na inne imię. Przestrzegano tej zasady testamentem, co gdy spadkobiercy wiernie wykonywali, otworzył się prawie dobrowolny majorat. Udawało to się przeszło dwa wieki, gdy naraz hr. Zbigniew Zaliński będąc jedynakiem i chorowitego zdrowia, w późnym już wieku ożeniwszy się z daleką po kądzieli krewną, jako piewsze dziécię powitał w starem domostwie córę. Była to dla niego niemiła wcale niespodzianka, gdyż dotąd szczególnem zrządzeniem losu prawie zawsze pierwszy przybysz w rodzinie był synem a tem samem głową domu i panem majątku, którego dochodami obdzielała się zwykle bardzo nieliczna późniejsza rodzina. Tym razem wbrew dotąd praktykowanego prawidła córka miała rozpocząć szereg potomków. Po pierwszych chwilach zawodu dotkliwego uspokoił się hr. Zbigniew nadzieją, że familja pomnoży się przecież, a w ten sposób córka zejdzie jak zwykle do podrzędniejszego stanowiska, a spodziewany syn obejmie spadek ojczysty. — Nie zawsze jednak dzieje się po woli ludzkiej — fatalizm lubi czasami figle płatać, stając w poprzek woli i układów. Rok za rokiem upływał, a rodzina ograniczała się na ślicznej pełnej zdrowia Joasi, którą ojciec nie lubiał, a matka, która jak wszystkie w owych czasach kobiety, drzała przed mężem, obawiała się ją nawet popieścić w jego obecności. Rosło tak dziecię trzymane na uboczu przy ochmistrzyni, zdala od rodziców, a biedna matka znosząc w każdej chwili niezasłużone od męża zarzuty, — odjętą mając nawet tę jedyną rozkosz w pielęgnowaniu swego dziecięcia, ciągnęła życie tak przykre, że bez żalu je pożegnała, widząc że jest mężowi nienawistną i dziecięciu na nic się nawet nie przyda. — Biedna pomimo dostatków, osierocona Joasia, w ósmym roku w ciężkiej żałobie szła za trumną matki więcej zdumiona jak przejęta boleścią tej niepowetowanej straty swojej. Położenie jej w niczem nie zmieniło się teraz. Codziennie ochmistrzyni ubrawszy ją w koronki i drogie materje, prowadziła do jadalni, w której jadła obiad razem z ojcem, nie podnosząc prawie ócz od talerza, szczęśliwa gdy z końcem objadu dotknąwszy ustami ręki jego, odchodziła z przeświadczeniem; że 24 godzin dzieli ją znowu od chwili podobnie ciężkiego przymusu. Minęło półtora roku, — a jednego dnia, gdy jak zwykle po objedzie chciała odejść Hasia — ojciec położył rękę na jej ramieniu i rzekł tonem ostrym: „Od dziś za cztery tygodnie będziesz miała matkę — pamiętaj ją kochać i szanować — tego chcę — odejdź!“ W godzinę później kazał przywołać ochmistrzynię i mówił z nią przeszło kwadrans. Na tem skończyło się wszystko. W miesiąc potem wyjechał, i w parę dni wrócił z żoną. Była nie ładna lecz młoda i zdrowa. Była to znowu jedna z dalekich podupadłych kuzynek, która poszła za niego dla imienia i majątku — a z którą on się ożenił w nadziei uzyskania syna. Rachuby i tym razem go zawiodły. Młoda pani w rok niespełna i powiła mu córkę, dziecię jednak w dni kilka po urodzeniu umarło. Przez lat kilka co roku był spodziewany i z gorączką oczekiwany potomek płci męskiej, a zawsze rodziły się córki i marły do kilku tygodni.

Joasia kochała drugą matkę, która nierównie czulszą i lepszą była dla niej jak ojciec, a nie mając własnych dzieci, przywiązała się do niej całem poczciwem sercem potrzebującem kochać, a które mąż mroził obejściem surowem i lekceważeniem z powodu zawiedzionych swych nadziei. Ciężkie było życie tej nowej niewolnicy i Bóg tylko widział, ile łez wylała w samotności lub tuląc do serca dorastającą Joasię, — aż Bóg zmiłował się nareszcie i w piątym roku tej męczarni zabrał ją do siebie.

Trzynastoletnia Joasia uczuła teraz dopiero swe sieroctwo — przyzwyczaiła się do tkliwych starań i słów przyjaźnych zmarłej macochy i zobaczyła się tak

samą okropnie, że z rozpaczą prawie załamała ręce. Pogrzeb odbył się paradny, a do sklepień grobowych wniesiono znowu jedną trumnę więcej. Hrabiego Zbigniewa opanował jakby szał jakiś, — po nocy się zrywał i wołał: „Muszę mieć syna — syna! choćbym djabłu duszę zapisał!“ — A był na dworze jego podstarości, który miał śliczną i hożą żonę. Ośm lat jak się pobrali, a sześciu synów rumianych i zdrowych jak młode dębczaki igrało koło nich. Otóż w rok po śmierci drugiej żony, hrabia Zbigniew przywołał podstarościego do siebie i miał z nim długą przy zamkniętych drzwiach rozmowę, — następnie podano o rozwód dla młodego małżeństwa do Rzymu, w którem naraz dopatrzono jakąś nieprawidłowość. Nikt nie wie, ile to wszystko pieniędzy kosztowało; przyszedł jednak rozwód, nawet prędzej, jak się spodziewano, a jednego pięknego poranku podstarości wraz z synami odjechał do własnej wsi, którą o mil kilkadziesiąt kupił dla niego hrabia — a w zamkowej kaplicy, na stopniach ołtarza, w obecności dwóch świadków, ukląkł 50-letni hrabia Zbigniew z marsem na czole i wydętemi dumnie ustami — i śliczna 26-letnia Zosia, nie umiejąca się poruszać w ciężkiej, długiej, atłasowej sukni, a spadkowe brylanty, zdobiąc jej szyję i uszy, nie zdolne były ugasić łez, sączących się z niebieskich ocząt, które obfitym strumieniem płynęły za wspomnieniem szczęścia i miłości w ubóstwie i za maleńkim synaczkiem, którego oderwano od jej piersi, wmawiając w biedną kobietę, że powinna spełnić ofiarę tę dla szczęścia ukochanego męża i dzieci.

W godzinę później, dumny pan, siedząc w bogatym fotelu, rzekł do swej żony, która opodal z pokorną postawą niewolnicy stała:

— Wziąłem cię za żonę — bo chcę mieć syna — dałem ci wielkie me imię i majątek, a ty mi w zamian musisz dać dziedzica, rozumiesz — syna chcę mieć, i mieć go muszę — pamiętaj — syna — syna!

W kilka tygodni rozeszła się wieść, że nowa pani w stanie błogosławionym. Od tej chwili hrabia Zbigniew zmienił się zupełnie, zmienił także postępowanie swe z żoną — stał się dla niej tkliwym, uprzedzającym. On dumny i absolutny — stołeczek ślicznej Zosi pod nogi podstawiał, przez próg na rękach przenosił, muchy od śpiącej opędzał. — Joasia tymczasem żyła samotnie prawie, kształcąc się od biegłej w zawodzie swoim nauczycielki. Wszystko, co dostatek przynieść może, było jej udziałem, ale nie miała ani odrobiny tego ciepła rodzinnego, które świeciło jej tylko wspomnieniem krótkich lat kilku przeżytych, z macochą. Z Zosią nie znała się prawie; z początku ojciec sam powiedział do córki: „Zofię nie wolno ci nazywać matką, za nadto ona nisko w porównaniu z tobą stoi, byś jej dawała to miano. Ożeniłem się z nią, gdyż ona da mi spadkobiercę imienia, — dla ciebie jest ona jednak zupełnie obcą“; później zaś Joasia sama odsuwała się od niej, pamiętna w rodowej swej dumie, której wiele z ojca posiadała, że kobieta gminu nic z nią wspólnego mieć nie może.

Upływały tak miesiące, a gdy nadszedł czas rozwiązania, już wpierw na parę tygodni lekarze śledzili stan zdrowia kobiety, która sześć razy słabości swe odbywała szczęśliwie wśród niedostatku i pracy.

Hrabia Zbigniew nie jadł, nie spał — słowem rad by był przyspieszyć sztucznym sposobem chwilę urodzenia upragnionego i oczekiwanego tyle syna. Jak wszystko na świecie, tak i czas oczekiwania skończył się, a piękna Zosia, położywszy się wieczór zdrowa zupełnie do łóżka — nad ranem najszczęśliwiej powiła córkę.

Na odmalowanie stanu hrabiego słów nie ma — wściekłość go porwała, w napadzie tym przyskoczył do łoża chorej, krzyknąwszy: „Precz z oczów moich nędznico! Ty, której pojęciem za żonę zhańbiłem nieskalane imię przodków — precz — precz — precz!“ Byłby ją rozszarpał, gdyby nie lekarze, którzy go wyprowadzili prawie przemocą. Nie potrzebowała biedna kobieta uciekać jednak z pysznych pałaców, przestrach spowodował silną gorączkę, z której wywiązał się tyfus, a czternastego dnia pochowano ją z okazałością, ale bez obecności męża, który z okna przypatrywał się obrzędowi wspaniałemu, nie poświęciwszy zmarłej ani jednego westchnienia.

W kilka dni później wyniesiono z pałacu malutką trumienkę, ale tak trumnę Zofji, jako też trumienkę jej dziecięcia, nie uznano godną miejsca w grobowcu familijnym. Spoczęły obie na smętarzu pod wspaniałym pomnikiem bez napisu.

Grobowa cisza rozsiadła się teraz w pysznym dworze Proszowa. Hrabia Zbigniew nie wychodził prawie ze swoich pokoi, Joasia przebywała po drugiej stronie pałacu, albo w dnie pogodne w ogrodzie, lub na dalekich przechadzkach. Pora objadowa tylko złączała ojca i córkę, co dla obojga widocznym było przymusem. Joasia, onieśmielona surowem obejściem ojca, a przytem wiedząc, ile była mu niemiłą, obawiała się odetchnąć głośniej, krok każdy głośniejszy wprawiał ją w drżenie, chociaż ojciec, odkąd żyła, raz jeden gniewnem słowem jej nie obrzucił, ale też ani jednem czulszem spojrzeniem lub słowem nie popieścił biednego dziewczęcia.

Jakimże więc zdziwieniem i strachem przejęta była biedna dziewczyna, gdy jednego dnia zrana wszedł do jej pokoju stary sługa domu i zawezwał ją do ojca. Zdarzenie podobne było pierwsze w jej życiu, nic więc dziwnego, że napełniło ją nieopisaną trwogą i niepokojem. Wstała w milczeniu i wyszła wraz z ochmistrzynią, a gdy poprzedzający ich stary sługa otworzył podwoje komnaty ojca, ugięły się ze strachu pod nią kolana i omało nie upadła na progu. Hrabia Zbigniew stał oparty o wysokie biurko, a zobaczywszy wchodzących, rzekł ostro do ochmistrzyni: „Chcę być sam z moją córką.“ W minutę zadość stało się jego woli. Wtedy pierwszy raz w życiu wziął ją za rękę

i poprowadziwszy do okna, patrzył na nią długo w milczeniu, a potem rzekł łagodnie, do trzęsącej się ze strachu dziewczyny:

— Nie drżyj tak i nie obawiaj się mnie moja córko, jestem twoim ojcem i żal mi dzisiaj, że dotąd obchodziłem się z tobą jak z obcą; przebacz mi to! — i przytulił ją do siebie. Biedna Joasia, w najśmielszych snach swoich, nie śmiała zamarzyć o podobnej chwili, to też nie wiedziała, czy to ma być wyrokiem życia lub szczęścia dla niej, łzy tylko mimowoli potoczyły się z ócz jej, z poza których nie śmiała spojrzeć na ojca. Po chwili milczenia odezwał się hrabia znowu:

— Chciałem mieć syna, dziedzica imienia i majątku mojego, bo w rodzie moim zawsze tak było, że syn zasiadał na ojcowiźnie przodków, a córki, odbierając wiano, szły w inne familje, zaszczycać je swem połączeniem. Zamiast spodziewanego syna, przyszłaś ty na świat i to była przyczyna mej ku tobie niechęci. Gdybyś ty była drugiem mojem dziecięciem, byłbym cię tulił i ogrzewał ciepłem przywiązaniem ojca. W powtórnem małżeństwie mojem nie byłem także szczęśliwym. Trzy razy świtała mi nadzieja i zawsze zwodziła; nareszcie po śmierci drugiej małżonki, popełniłem nieprzebaczone szaleństwo, za które dotąd wstydem i hańbą w obec siebie samego i praojców moich pokutuję. Było to wyzwaniem Boga do walki! i stało się znowu wbrew moim układom. Zlitował się Wszechmocny przynajmniej i zabrał nieprawnie wciśniętych do starej a dumnej pochodzeniem rodziny naszej i teraz dopiero opamiętałem się. Biedne dziecko, jesteś dla mnie jakby zjawieniem nadziei i szczęścia. Ty jedna możesz uratować imię nasze i majątek od zupełnej zagłady; jako ojciec mogę rozkazać, a ty musisz być posłuszną mej woli. Przeistoczyła się jednak moja natura, sprzykrzyła mi się samowola, odzywam się do ciebie więc nie głosem surowego pana, ale prośbą tkliwego ojca, czy spełnisz chętnie żądanie moje?

Joanna, która nie wiedziała, czy snem lub jawą jest tak niespodziewane dla niej obejście ojca, wzruszona do głębi serca łagodnemi słowami, pochyliła się do kolan jego i z gorącem uczuciem córki, całując rękę ojca, rzekła bez namysłu:

— Ojcze mój, jakiekolwiek jest twe życzenie, cokolwiek rozkażesz, spełnię z radością, gdy tem mogę choć jedną chwilę życia twego umilić. — Podniósł ją ojciec i odezwał się teraz:

— Dwóch tylko jest już hr. Zalińskich na świecie, wygasa ród nasz i kończy się. Z tem przeświadczeniem ja nie mogę spocząć w grobie. Pomimo trzechrazowego małżeństwa mojego Bóg nie dał mi syna, nie mogę więc już liczyć na to. Zostaje więc jeden tylko z ubocznej linji potomek rodu naszego, młody i zdrów, ale natura stała się dla niego macochą; jest prawie ubogi, lecz majątku my nie potrzebujemy, ma imie, które przejdzie na syna twego, jeżeli Bóg odwróci zagniewane swe oblicze odemnie grzesznika, a w łasce swej wejrzy na ciebie córko moja. Oto jest wola moja i prośba, byś spełniła ochotnie ofiarę, którą żądam od ciebie, pojmując za małżonka dalekiego, upośledzonego krewnego.

Coś jak dreszcz śmiertelny przebiegło po sercu szesnastoletniej, pełnej wdzięku ciała i duszy Joasi, bez zająknienia jednak odrzekła:

— Jestem gotowa spełnić twoją wolę mój ojcze bez szemrania i w każdej chwili.

Od tej rozmowy stosunek między ojcem a córką stał się dopiero rodzicielskim, a służba cała gotowa była uwierzyć w czary, widząc hr. Zbigniewa bezustannie w towarzystwie Joasi, którą tak ta zmiana uszczęśliwiała, że życie całe swe gotowa była poświęcić ojcu, za troskliwe i pełne uczucia przywiązanie jego. W kilka tygodni potem służba dostała rozkaz odświeżania drugiego skrzydła pałacu. Narzeczony hrabianki miał przyjechać.

Jednego dnia nareszcie Joasia, z bijącem sercem a łzami gwałtownie wstrzymanemi w oczach, śledziła zajeżdżającą karetę. Hr. Zbigniew stał na ganku, a co się to tam w duszy jego działo, nikt odgadnąćby nie mógł; usta tylko mu drżały, a twarz bardziej pobladła. Stanęła nareszcie czworokonna kareta przed gankiem, a z niej wysiadł najprzód mężczyzna 30 letni, średniego wzrostu i tuszy, a za nim atletycznej postawy drugi, lat najwięcej dwudziestu kilku. Joasia zauważała, że był wcale przystojny i w tej chwili zapytała sama siebie, dla czego ojciec ją przygotowywał do zawarcia tego związku, jak do spełnienia ciężkiej ofiary? Nie widziała nic więcej, gdyż weszli do przeznaczonych dla nich pokoi, a ona stała jeszcze w oknie, gdy wszedł po raz pierwszy w życiu do niej ojciec i rzekł głosem dziwnie zmienionym:

— Córko moja, nadeszła więc chwila stanowcza dla ciebie, dla mnie i dla całego rodu naszego. Przyjechał hrabia Stefan Zaliński, twój przyszły małżonek. Żądam od ciebie słowa i zapewnienia, że po poznaniu go nie cofniesz się od danego mi słowa posłuszeństwa.

— Nie ojcze mój, nie stanę się tobie nieposłuszną, licz na mnie z pewnością — odpowiedziała Joasia śmiało i z uśmiechem. Ojciec dotknął ustami czoła córki i szepnął sam do siebie: — Biedne dziecię! — a potem rzekł głośno:

— Bądź więc gotową do tej ważnej chwili; indult mamy, jutro w zamkowej kaplicy odbędzie się ślub twój, pojutrze wyjedziemy wszyscy razem do Paryża, dla zakupienia należytej dla ciebie wyprawy, a tymczasem, gdy nadejdzie chwila objadu, przy którym poznasz narzeczonego twego, staraj się dziecko moje być panią siebie.

Gdy za chwil kilka ojciec wyszedł, Joasia długi czas była nieprzytomna prawie. Chociaż od kilku tygodni wiedziała już, że chwila jej zamęścia się zbliża, chociaż przed godziną widziała ukradkiem przyszłego męża, którego wyobrażała sobie najpotworniejszej postaci, a z miłem uczuciem zobaczyła go wcale nie wstrętnego, przecież nie pomyślała o tem, by tylko godzin kilkanaście dzieliło ją od połączenia się na zawsze z czło-

wiekiem, którego nie znała zupełnie. Joasia żyjąc w klasztornem prawie odosobnieniu, nie mając żadnych znajomości, nie mogła do żadnego z mężczyzn uczuć tkliwszej jakiejś sympatji, ale którejże panienki myśl w szesnastu latach nie wybiega w świat szeroki i nie szuka w przyszłości marzeniach tego, który pierwszy szepnie jej słodkie słowa miłości i z którym ona po wymianie wzajemnych uczuć, szczęśliwa stanie u stopni ołtarza? A Joasia, biedna, pozbawiona tak długo uczucia serdeczniejszego, jakże często śniła o tych słowach, które nigdy z ust nawet rodziców nie odbiły się o jej uszy. A teraz jutro, jutro już ma się na całe życie, na zawsze związać z człowiekiem, który jej nie kocha, może nigdy kochać nie będzie, może kocha inną; a ona może i jemu stanie się nienawistną, gdyż jak ona, może i on połączeniem tem pada tylko ofiarą dumy rodowej. Więc już nigdy dla niej nie ma zabłysnąć jaśniejsza chwila w życiu! — Teraz zdawało jej się, że zrozumiała słowa ojca, gdy małżeństwo to traktował jako spełnienie kielicha gorzkiego napoju i ścisnęło się serce biedaczce, jakby przeczuciem jakiego nieodgadnionego nieszczęścia i łzy obfitym strumieniem twarz jej zalały. Wśród tych myśli weszła panna służebna, przypominając, że wkrótce nadejdzie godzina objadu, a panna hrabianka nie ubrana jeszcze. Podniosła się więc Joanna ze sofy, na której siedziała zapłakana i zaczęła się ubierać. Strój jasny, który przygotowany był na dzień ten, kazała zastąpić ciemno popielatą jedwabną suknią, ciemne włosy nie ozdobiła ani jednym kwiatkiem, czarną tylko aksamitką objęła do koła gruby warkocz, od którego chyliła się prawie głowa dziewczęcia, i w tem to ciemnem a smutnem ubraniu i smutniejszem jeszcze usposobieniu, choć z uśmiechem na ustach, z uderzeniem dzwonu, wzywającego na obiad, weszła hrabianka do sali jadalnej. Stół nakryty na cztery osoby uginał się od srebra, dwóch lokai w czarnych galowych kubrakach i białych rękawiczkach, stało u drzwi wchodowych. Hrabia Zbigniew stałprzy oknie, a na szelest sukni wchodzącej córki, postąpił ku niej i rzekł cicho: „Odwagi córko!“ — Nim ona zdołała zdobyć się na słowo zapytania lub odpowiedzi — podwoje się otworzyły i sługa wygłosił: „hrabia Stefan Zaliński — pan Emil Łęcki“. Joasia ruchem jak myśl szybkim zwróciła głowę ku wchodzącym, i bladość śmiertelna twarz jej powlekła. Pan Emil Łęcki prowadził za rękę przeszło 6 stóp mającego hrabiego Stefana, który z miną głupowatą postępował za nim, zapchawszy palce do ust i podskakując wesoło. Twarz jego była prawie piękną, ale wyraz najzupełniejszego idiotyzmu rozlał się na niej.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się piskliwym głosem w progu — będą ciasteczka, cukierki, grzybki! będę jadł, będę jadł, — a potem pojadę na koniku daleko — daleko! — i nie czekając na nikogo, nie słuchając słów towarzysza, usiadł przy stole, wyciągnąwszy długie nogi przed siebie i żarłocznie spożywać zaczął z talerza zupę. Joasia w osłupieniu patrzyła na niego, chciała się przymusić siłą woli do spokojnego zachowania, postąpiła więc kilka kroków, chcąc się zbliżyć do stołu, ale mgła czarna zasłoniła jej oczy i padła zemdlona.

Na drugi dzień rano, w obecności pana Emila Łęckiego, towarzysza i opiekuna biednego Stefana i starego rezydenta domu jako świadków, kapłan związał stułą rękę jak z śmiertelnej pościeli powstałej, bladej i drżącej Joanny, z ręką ogromnego i barczystego idjoty, który przez cały czas trwającego obrządku, zachował się milcząco i spokojnie. Ojciec stał oparty o kolumnę kaplicy, a w wyrazie twarzy jego znać było i litość nad jedynem dziecięciem i zadowolenie ze spełnienia aktu, po którym zostawała mu nadzieja, tyle razy go zawodząca. W kilka godzin potem weszła Joanna do pokoju jego, w długiej, wlokącej się po za nią, ciężkiej, czarnej, jedwabnej sukni, i rzekła stanowczo, bez łzy w oku:

— Spełniłam ofiarę, której wymagałeś odemnie ojcze. Nie chcę zastanawiać się nad pytaniem, czy godziwem było żądać jej odemnie, dla dogodzenia li tylko rodowej ambicji, lecz stało się już. Jedyną modlitwą moją od dziś jest tylko ta, w której proszę Boga, by nienadaremnie piłam z tego kielicha wstydu i goryczy, by stało się nareszcie zadość twym pragnieniom i mogłam przyjściem na świat potomka linji męzkiej, okupić życiem mojem, — ale dziś przyszłam ci ojcze powiedzieć, że i ja mam trochę woli własnej. Nie chcę jechać nigdzie, nic mi nie potrzeba, mam i tak za wiele wszystkiego do szczęścia, które się stało moim udziałem, a zabaw ani rozrywek nie pragnę — nie znałam ich nigdy, nie tęskniłam nawet za niemi — sny moje i marzenia szły w innym kierunku, pragnęłam tego, na czem mi od najmłodszych lat brakowało... miłości. Dziś i z tem marzeniem zrobiłam rozbrat. Nic więc nie potrzebuję, i ani za bramę pałacu nie wyjadę.

Ton jej był cierpki, a wola odbiła się w nim tak stanowczo, że ojciec stał przed nią jak winowajca pokornie, i rzekł: „Wola twoja we wszystkiem spełnioną zawsze będzie“.

Od dnia ślubu, stosunek ojca z córką stawał się codziennie obojętniejszy. Joanna czuła straszny żal do niego, za zniszczone całe swe życie. On pojmował to, i wyrzuty sumienia zaczęły go dręczyć, trapiąc przeświadczeniem, że Bóg za to ukarze go albo brakiem potomstwa w powtórnym związku, albo przyjściem na świat córki. Joanna dobra i tkliwa z natury, łaknąca choćby przywiązania, a niekochana nigdy od nikogo, posiadająca przytem wiele dumy ojca i wykształcenia nabytego od mądrej nauczycielki, a wyegzaltowanego książkami, których czytaniu poświęcała się z zamiłowaniem, z początku ze wstydem odwracała się od męża, poźniej jednak uczucie żalu pomięszało się z uczuciem dumy. Ten człowiek był jej mężem, a nim nim został, był jej krewnym, gałęzią jednego z nią drzewa, mogłaż więc ona, siostra i żona jego, pozwalać służbie patrzyć na ten związek z szyderstwem i litością? Ten brat jej i mąż był nieszczę-

śliwym, nie mającym nikogo przyjaźnego na szerokim świecie. Jegoż to było winą, że wzrastając fizycznie, nie rozwinął się moralnie i został pomimo kolosalnej budowy dziecięciem? Joanna uczuła się upokorzoną w obec niego, uczuła litość i zwróciła się przyjaźnie ku niemu. Dnie całe spędzała w jego towarzystwie, stając się dla niego dzieckiem i bawiąc się z nim zabawkami kilkuletnich dzieci. Dobierała najłagodniejszego głosu, przemawiając do niego, nie sprzeciwiając mu się nigdy, odwracając jednak ze słodyczą wszystkie nierozsądne zamiary jego. Wynikiem tego postępowania Joanny było, że w parę tygodni Stefan ani chwili nie mógł się obejść bez niej, stała ona się dla niego jakby jasnem, niewidzianem dotąd słońcem, którego ciepłe promienie teraz dopiero zaczęły go ogrzewać; wpatrywał się w nią z zachwyceniem, które ujmowało pięknej jego twarzy wyrazu zwierzęcej bezmyślności, a nadawało melancholji. Gdy długo siedziała przy nim cicha i milcząca, płakał i prosił:

— Mów co do mnie siostro, bo jak niesłyszę twego głosu, to mi ciemno i zimno, a jak cię nie widzę, to mi tak jest, jak wtedy, kiedy mnie bili, albo bez kolacji spać iść kazali.

Joasia wtedy nachylała się ku siedzącemu u nóg jej mężowi i całując go w czoło, mówiła ze łzami:

— My oboje biedne, nieszczęśliwe sieroty, prawda? Nie ma nas tylko dwoje na całym świecie, nikt nas nie kochał i nie kocha, musimy więc nędzę naszego związku zapełnić uczuciem przyjaźnem!

Stosunek ich do siebie zamiast więc być wstrętnym i nienawistnym, stał się prawie miłym. Joasia wiedziała, że jest na świecie istota, która ją kocha, która ją potrzebuje, dla której ona ma obowiązki przed ołtarzem przysiężone, a gdy w kilka miesięcy później uczuła, że ważniejsze jeszcze czekają ją obowiązki, bo ten nieszczęśliwy nie tylko jej bratem ale ojcem jej dziecięcia zostanie, pokochała go prawie. Wiadomość o stanie błogosławionym córki hr. Zbigniew przyjął z drżeniem prawie, a od dnia tego widziano go codziennie klęczącego lub leżącego krzyżem na zimnym marmurze posadzki kaplicy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA LODZIE.

NOWELLA.

— Kasiu, czy panienka jeszcze toalety nie skończyła? — spytała pani Dłuska z niecierpliwością pokojówkę objuczoną futrami, szalami i baszlikami, które starannie na dwóch krzesłach w salonie składała.

— Zaraz przyjdzie proszę pani, za minutkę! — odrzekła szybko dziewczyna.

— Ta wasza minutka — potrząsła niechętnie głową pani Dłuska — taka długa jak mile na Podolu. Jedziesz i jedziesz, a spytasz się kogo, zawsze ci odpowie: „Mała milka proszę pani“ — i znowu jedziesz tę milkę pół dnia!

Kasia uśmiechnęła się nieznacznie, i do swojej ukochanej panienki pospieszyła, aby oświadczyć „że ciocia już taki doprawdy gniewać się zaczyna.“

Pani Dłuska była to matrona poważna, postaci wyniosłej, i dotąd przez wiek nie przygarbionej. Ruchy jej były pełne dystynkcji, rysy łagodne, ujmujące, nawet piękne, mimo że nad czołem świeciły białe jak mleko pukielki, z pewną kokieterją *á la Sévigné* na grzebykach ułożone.

Od śmierci męża nie zdjęła żałoby, i teraz więc miała na sobie czarną, aksamitną suknię; na pełnej i białej jeszcze szyi, okolonej kryzą z prawdziwej koronki, wiły się trzy sznury pereł urjańskich, prześlicznej wody i wielkości grochu; stroik elegancki z lilla kwiatami spoczywał na siwych włosach; zarzutka czarna koronkowa, leżała na kanapie. Wszystko zdradzało strój niezwykły, poważny, lecz wytworny, balowy.

Zadzwoniła, wszedł służący.

— Skoro panna Emma będzie gotowa, podasz Janie herbatę i przekąskę.

Zaczęła przechadzać się po salonie z miną zafrasowaną, i tak z cicha mówiła sama do siebie:

— Więc znowu na bal jedziemy. Wszelkie ofiary ponoszę dla szczęścia Emmy, byle sama je nie deptała nogami! Póki ja żyję, na niczem zbywać jej nie będzie. Wszak to dziecko jedyne mojej siostry najdroższej, o tyle lat młodszej odemnie, a która tak prędko porzuciła wszystkich tych, co ją szczerze kochali! Szwagier mój ożenił się powtórnie; tam nie ma dla biednej Emci miejsca; ledwie potrafiłam mały posażek matki wydrzeć dla niej z paszczy nienawidzącej jej macochy. Bolesław Skaliński taka dobra partja! Ale gadaj że do trzpiota! kiedy jej Bóg wie co w głowie świta!

Mąż pani Dłuskiej, zmarły przed pięcioma laty, był majętnym obywatelem w obwodzie brzeżańskim. Bezdzietnie umierając, zostawił żonie na całym majątku dożywocie; po jej zaś śmierci, dwie piękne wioski nad Złotą Lipą położone, przechodziły do jego rodziny. Emmę Gorzycką wzięła w wieku kilku lat do siebie, za córkę zupełnie uważając i nawzajem była od niej jak matka kochana i najczęściej mateczką, nie ciocią nazywana. Dała jej wychowanie najstaranniejsze, żeby w każdym razie mogła sobie dać radę w świecie; niczego jednak poczciwa ciotka więcej nie pragnęła, jak oddać w dobre ręce ten swój kwiateczek, tak starannie wypielęgnowany. Emma, jak wszystkie natury pełne talentów i bujnej wyobraźni, mimo serca najlepszego, była trochę trudna do prowadzenia. Nadzwyczaj żywa, fan-

tastyczna, miewała porywy najszlachetniejsze, a jednak czasem... musimy to przyznać, choć z bolem serca — były i kaprysiki, uporek, ni z tego ni z owego muszki w nosie, które to wady ciotka pokonywała niezmienną łagodnością i delikatną perswazją; nie mniej jednak pragnęła dla Emmy męża, którýby ją kochał, ale przytem potrafił silną dłonią przez życie poprowadzić. Nie wątpiła, że mając dom własny, oraz święte i ciężkie obowiązki jako żona, pani domu, a da Bóg w przyszłości i matka, Emma się ustatkuje, i z kapryśnego motylka, przemieni w pracowitą pszczółkę, umiejącą unikać trucizny, a znosić miód słodki dla ula domowego

Od trzech lat najbliższym ich sąsiadem, był trzydziestoletni Bolesław Skaliński. Przypadek zrobił go bogatym. Brat jego stryjeczny w kwiecie wieku zginął w pojedynku, jemu przedtem cały majątek zapisawszy. Nie olśniła go bynajmniej nagła zmiana losu. Wsie zostawił nadal w dzierżawie, a sam kończył w stolicy kursa prawnicze. Dopiero gdy zdał wszystkie egzamina, i jeszcze rok cały przepędził w najlepszej szkole agronomicznej, objął majątek na siebie, za oszczędzone przez kilka lat pieniądze postawił elegancki dom wiejski, urządził ślicznie gospodarstwo, ogród ze smakiem upiększył, jednem słowem: stał się prawdziwym Feniksem w okolicy, i celem życzeń tajemnych wszystkich panien na wydaniu, również jak troskliwych o tychże przyszłe losy, matek i ciotek. Bywał często w domu najbliższej sąsiadki, pani Dłuskiej, i jawnie okazywał swoje przywiązanie do Emmy, otaczając ją serdeczną troskliwością, i przysługując się czem tylko mógł, tak ciotce, jak i siostrzenicy.

Emma śmiała się i żartowała z nim wesoło, śpiewała mu chętnie swoje najpiękniejsze piosnki, czytała książki, które zwoził, i dzienniki, których jej udzielał, gdy jednak chciał złapać motylka w sidła i pomówić słowo na serjo, motylek umiał zawsze uniknąć stanowczej rozmowy, zbyć pytanie ni tem, ni owem i frunąć mu z rąk niepostrzeżenie. Podobne postępowanie do rozpaczy przyprowadzało biedną ciotkę; bolało zapewne i pana Skalińskiego, lecz go dotąd wcale nie zrażało.

Była to natura na wskróś szlachetna, prawdziwie rycerska. Niejednokrotnie dawał dowody nieustraszonej odwagi, postępował z taktem z mężczyznami, był jednak z nimi prawie imponującym, mało kogo przyjaźnią swoją odznaczając. Szanowano go też powszechnie, ale i bano się po trochę. Za to w stosunkach z kobietami, jako z płcią słabszą pozornie, o której jednak Krasicki napisał: „my rządzimy światem, a nami kobiety!“ był nadzwyczaj grzeczny i delikatny. Nie darmo jeden z wielkich myślicieli powiedział: „Miarą cywilizacji narodów, jest uprzejme obchodzenie się mężczyzn z kobietami.“ — Jest to także kamień probierczy każdego pojedyńczego człowieka. Brutal względem matki i żony, w obec mężczyzn będzie zawsze podłym i nikczemnym tchórzem.

Bolesław szczerze i uczciwie pokochał Emmę, a uwzględniając jej lat ośmnaście, cieszył się wesołością, był pełen wybaczliwości dla jej złych humorków i kaprysików, nie dziwił się nawet, że chce jeszcze trochę pobujać młoda ptaszyna, zanim zwiąże się słowem stanowczem.

— Wszystko to zmieni się po ślubie — myślał w duchu. — Emma jest naszą polską dziewicą, ma serce złote, ale taka młoda! toć chce się jeszcze pobawić, aby potem domu i obowiązków pilnować!

Nie chcąc jej niczem zrażać, dogadzał może aż nadto wszystkim fantazjom, zawsze z równą grzecznością był gotów na każde jej skinienie, i znosił z bezprzykładną cierpliwością zmiany jej humoru, uważając je jako naturalne objawy u dziecka rozpieszczonego zbytnią ciotki pobłażliwością.

Pani Dłuska chciała zadzwonić, i spytać się o siostrzenicę, gdy w tem w pokojach przyległych usłyszała piosenkę Moniuszki; „Kiedy się w koło, śmieje wiosenka“ nuconą głosem świeżym, wyrobionym, któremu jednak nauka nie potrafiła odjąć naturalnego wdzięku i rzewnej prostoty. Lekkie kroki do drzwi się zbliżały, i z trylem niedokończonym wpadła Emma do salonu.

Cudne to było dziewcze, istna Rusałka! Kibić miała wiotką a giętką, ruchy żywe, ale pełne gracji nie wymuszonej. Oko czarne, głębokie, kłóciło się wiecznie z usteczkami małemi, różowemi i rozkosznemi, czy to uśmiechały się figlarnie, żłobiąc w pełnej buzi dwa dołki, czy też odymały się nadąsane z minką nibyto bardzo serjo i bardzo zagniewaną, po za którą czuło się jednakże bądź łzy żalu, bądź też nowy wybuch śmiechu wesołego. Bujne blond loki spadały na toczyste ramiona, sukienka biała jak śnieg, cudnie ją stroiła. Można było patrząc na nią z zachwytem powtórzyć słowa naszego wieszcza nieśmiertelnego:

„Jej twarz, jak róży bladej zawoje,
„Skropione jutrzenki łezką,
„Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
„Obwiały postać niebieską.

Rzuciła się ciotce na szyję zaraz od progu, okrywając ją pieszczotami i pocałunkami:

— Ostrożnie dziecię — rzekła ciotka z uśmiechem, na widok Emmy zupełnie udobruchana. — Pomniesz twoje tarlatanowe draperje i wieńce z róż na piersiach i ramionach.

— O mateczko najdroższa! Gdyby mi to miało stanąć na zawadzie do serdecznego uścisku dla ciebie, wolałabym zrzucić wszystko, choć takie piękne i ponętne. Chciałam cię przeprosić, żeś tak długo na mnie czekała. Nieznośne loki! Dwa razy zapiekane, i ani rusz! zwijać się nie chciały. Po pierwszym walcu będę wyglądała jak Magdalena pokutująca z włosem rozpuszczonym. Muszę zrobić do tego minę odpowiednią nabożno-sentymentalną.

Przystąpiła do źwierciadła i parsknęła śmiechem:

— Ha! ha! ha! Z tą minką pobożną, wyglądam jak kot przy śmietance złapany. A jednak powinnabym być dzisiaj więcej serjo. Ostatni dzień w roku! Kto wie co nam rok nowy przyniesie?

Oczy pięknego dziewczęcia zalśniły łzami i przez okno w jakąś dal pogoniły, z wyrazem cichego, głębokiego zamyślenia. Ocknęła się jednak prędko z zadumy, a przyciskając do ust ruchem namiętnym rękę ciotki:

— Cokolwiek by mi przyniósł, umiałabym to znieść cierpliwie, byleś ty mię mateczko tak kochała, jak ja ciebie kocham i uwielbiam!

Pani Dłuska pogłaskała jej twarzyczkę z miłością:

— Zawsze deklamujesz o kochaniu — dodała jednak z wymówką — a nie chcesz spełnić najgorętszych moich życzeń, i...

— I zostać czemprędzej żoną pana Bolesława — uzupełniła Emma, nie dając ciotce dokończyć.

Rumieńcem oblana, wpatrywała się w ciotkę ze łzą w oku, a z uśmiechem na ustach.

— Wszak o to idzie? — spytała po chwili. — Czym się już tak cioteczce naprzykrzyła? — cichutko i smutno dodała.

— Dziecko moje! — przycisnęła ją ciotka do serca — wiesz dobrze, żeś całą moją pociechą! Byłybyśmy jednak tak blisko siebie, o granicę tylko. Wiecznie żyć nie będę Emciu, a jakże by mi ciężko było umierać, zostawiając cię taką sierotą na szerokim świecie!

— Cioteczko nie mów tak, bo się na piękne rozbeczę, i chyba wcale na bal nie pojedziemy! — przypadła Emma do jej kolan, główkę w jej dłonie chowając.

— Więc dam temu pokój. Pomyśl jednak dziecię, jaki to los Bóg ci daje, a ty go prawie odtrącasz. Człowiek majętny, tak powszechnie szanowany...

— Aj! aj! Ciocia o nim mówi, jak o jakim starym tatusiu, lub wujaszku!

— Trzpiocie! trzpiocie! No, zacznijmy więc z innego tonu. Piękny, jak rzadko się zdarza. Co to za postawa książęca! jakie śliczne oczy szafirowe! jakie czoło wyniosłe, inteligentne! a te usta pełne, koralowe, ciemnym wąsikiem okryte?...

— Ejże cioteczko! bo będę zazdrośna! Pan Bolesław nawzajem cioteczkę uwielbia! To mi się wielce podejrzanem wydaje.

— Z tobą mówić to groch o ścianę! — rzuciła się ciotka niecierpliwie — same pleciesz niedorzeczności! Mów co chcesz, nie tak łatwo znaleść równego! Wszystko w nim się łączy. Piękność, majątek, wykształcenie, a jaka grzeczność, jaka delikatność!

— Aha! Dotknęłaś cierpliwie najdrażliwszej struny. Właśnie to mi się nie podoba, że taki ślamazarny!

— Kto?! Bolesław? A bój że się Boga! Jak lew odważny, energiczny, dzielny mężczyzna w całem tego słowa znaczeniu.

— Tylko nie w stosunku ze mną? Traktuje mnie jak dziecko popsute i rozpieszczone. Śmieje się ze wszystkich moich konceptów, kontent z moich najdzikszych kaprysów, zawsze gotów spełnić co do joty moje najgłupsze zachcianki!...

— Bo cię szczerze kocha.

— Dziękuję za takie kochanie! Ot! na ostatnim balu u państwa Rożnieckich, mówię mu, że ginę z pragnienia!

— Czemże pani służyć sobie pozwoli? — zrywa się na równe nogi.

— Proszę o szklankę lemonjady — a on już leci za drzwi na złamanie karku. Po chwili wraca ze służącym, niosącym na tacy lemoniadę.

— Ależ prosiłam pana o wodę ze sokiem! lemonjady nie cierpię! — rzucam mu w oczy zuchwale.

— Może źle zrozumiałem. Postaram się o wodę ze sokiem — i znowu wychodzi. — Wie ciocia cobym ja zrobiła, będąc na jego miejscu?

Pusta dziewczyna odstąpiła w tył o dwa kroki, podparła się w bok jedną dłonią z miną buńdiuczną, a drugą ręką niby to wąs podkręcała.

— Oto stanęłabym w takiej mniej więcej pozycji, i odezwałabym się w te słowa:

— Mościa panno! Jeżeli za moją wielką grzeczność zamiast podziękować, myślisz jeszcze kaprysić, szukaj że sobie sama wody z sokiem! Jam za dobry na to, żeby być twoim podnóżkiem. Bóg mnie stworzył mężczyzną, abym światu panował, a nie dawał się za nos wodzić pierwszej lepszej gąsce!

Zaczęła mówić tonem najniższym, jaki mogła dobrać w rejestrze głosu mezzo-sopranowego, ostatnie jednak słowa przeszły w dyszkant piskliwy i utonęły wreszcie w wybuchu śmiechu szalonego.

Pani Dłuska walczyła również z chęcią śmiechu, chociaż chciała udawać zagniewaną. Jan wniósł samowar kipiący, i cały przyrząd do herbaty.

— Przynajmniej żeś dobrze siebie osądziła — mruknęła ciotka niechętnie. — Dla tego, żeś jeszcze takie dziecko, i taka gąska, pan Bolesław patrzy z góry na ciebie, i uważa, że nie warto się gniewać na takie stworzeńko, póki cokolwiek z wiekiem nie zmądrzeje. Nie da on sobie na włos cienki uchybić, ale nadto szlachetny, i nadto dobrze wychowany, aby kobiecie równą niegrzecznością odpłacać.

— A jabym właśnie takiego męża pragnęła, żeby mi imponował, żebym czuła nad sobą jego silną wolę, żebym go kochała, ale i bała się po trochę. Oto mój ideał prawdziwego pana całego stworzenia!

— Oj zielono w głowie, zielono! Możebyś nawet tęskniła po ślubie, za porządną trzepanką z ręki męża? Wszak nasze Rusinki utrzymują „że ten tylko mąż prawdziwie kocha, który choć raz żonę dobrze przetrzepie“.

— No! nie posuwając się w mojej teorji, aż do tak smutnej praktyki — zaśmiała się Emma wesoło — chcę w moim mężu nie tylko czułego adonisa, lecz i pana nad sobą, i nie chcę, żeby o nas mówiono: „to mąż swojej żony!“ — tylko przeciwnie — „to żona pana N. N.

— Z tobą nikt do końca nie dojdzie! Weź się lepiej do herbaty, nalej mnie i sobie, gdyż już wielki czas jechać.

Emma usłużyła ciotce najtroskliwiej. Po wypiciu zaczęto się w drogę wybierać.

— Twoja zarzutka wiatrem podszyta — ciotka zauważyła — możesz się łatwo dziecię zaziębić.

— Kasiu, okręć mnie jeszcze tym czerwonym szalem po wierzchu. Teraz będę wyglądać jak prawdziwy Kacap! Jeszcze i buciki ciepłe? Niech i tak będzie. Widzisz mateczko jaka ja posłuszna! — i przytuliła się pieszczotliwie do ciotki; ta jednak przecząco głową potrząsła.

Otulone futrami wsiadły do karety na saniach i konie wyciągniętym kłusem z przed domu ruszyły.

Majątek pana Skalińskiego, był oddzielony od Żelabowa, rezydencji pani Dłuskiej, jedynie przez niewielki las dębowy. Skoro tenże minęły, ukazał im się w świetle księżyca dom obszerny, z piękną kolumnadą, klomby drzew, szronem ubrylantowane i stawek tuż koło domu z wieńcem wierzb płaczących do koła, błyszczący powierzchnią lodu, czysto ze śniegu umiecioną. Pan Bolesław był namiętnym amatorem ślizgawki. Majątek objąwszy, na ten jeden zbytek sobie nie żałował. Sprowadził Kacapów z Rosji i śliczny stawek przed samym domem kazał wykopać, a właściwie odnowić, bo jak świadczyły wierzby i wieczna wilgoć w tem miejscu, kiedyś musiało tam być wody źwierciadło. Zyskał na tem osuszenie całego ogrodu, w lecie chłód przyjemny od wody wiejący, w zimie zaś ulubioną przez niego rozrywkę.

Emma, choć niby to taką obojętną udawała, wychyliła się z powozu, mimo zimna szybę spuściwszy i ciekawem okiem wpatrywała się w siedzibę pana Bolesława.

— Ciemno w oknach — szepnęła — musiał już pojechać.

— Naturalnie! Przecież jest głównym aranżerem balu. Ale podnieś dziecię okno, bo mi zimno.

Emma mocno zawstydzona, że ją tak na gorącym uczynku wyłapano, wcisnęła się w kąt powozu, szybę prędko zasunąwszy, i odtąd w milczeniu pogrążona, roiła cudowne marzenia, o rozkoszach, które ją na balu czekały. Ciotka również ani słowem się nie odzywała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwiat tajemniczy.

(Ciąg dalszy).

VII.

SPOTKANIE.

Mrok zapadł w pokoiku Blanki, róże zdradzały wprawdzie bytność swoją, wonią cudowną, ale i one zdawały się szarą krepą powleczone, tak jak inne przedmioty, nagromadzone w tym kąciku zacisznym i rozkosznym. Oczy tylko na starym portrecie, świeciły dziwnie wśród zapadających ciemności, i zdawały się łzawo spoglądać na prawnuczkę, która z główką na ręku opartą, marzyła wonią kwiatów upojona.

Biała, powłóczysta suknia z kaszmiru, miękiemi fałdami otulała jej wiotką kibić, niebieskim, jedwabnym sznurem w pasie lekko związana; takaż wstążka wiła się wśród jasnych pukli, a końce jej na szyję spływały; dłoń prawa na arfie była oparta, której struny drgały jeszcze cichym brzękiem. Ułożyła się prześlicznie, jakby miała pozować malarzowi, chociaż stało się to bez jej wiedzy i woli.

— Jak mamę kocham, święta Cecylja! — odezwał się głosik cienki, a na progu pojawiła się młoda kobieta z lampą w dłoni, która oświetliła cały pokoik, i postać Blanki oblała.

Zerwała się Blanka z siedzenia, mocno zarumieniona, spiesząc ku nowo przybyłej.

— Ciocia u mnie? — zawołała z radością. — Zkądże ta łaska? Ale że się ciocia nie bała sama iść po schodach? — dodała z uśmiechem.

Najmłodszy brat pani de Nangis, piękny i świetny hrabia Kervadek, ożenił się przed kilku laty z Węgierką, hrabianką Irmą Z., poznawszy ją na salonach jej dalekiej kuzynki ks. Meternich, a którą, rzecz dziwna, bratowa serdecznie kochała. Trudno sobie było jednak wyobrazić kontrastu więcej rażącego, od tego, który istniał między dwiema kobietami. Pominąwszy różnicę wieku, o ile margrabina de Nangis była poważną, melancholijną i surową aż do przesady w całem swojem postępowaniu, o tyle wesołą i trzpiotowatą była jej bratowa. Małe, czarne oczki Irmy, albo latały w około, świecące jak błędne ogniki, lub też mrugały rozkosznie, jakby chciały cały świat przywabić do siebie. Wzrostu niewielkiego, miała kibić przecudowną, giętką jak trzcina, z ruchami żywemi jaszczureczki, wśród trawy pomykającej. Włosy krucze, olbrzymie, prawie za ciężkie dla tej małej główki, niedawały się ująć w niewolę żadnym grzebieniem, i wiecznie rozburzone, fantastycznie okalały jej czoło, i na cienką szyjkę spadały. Nosek maleńki, zadarty, zdawał się ciekawie w niebo zalgądać, płeć śniada, przypominała puszkiem aksamitnym dojrzałą brzoskwinię, usta pełne, koralowe, wiecznie uśmiechnięte, ukazywały dwa rzędy ząbków drobnych, białych, a ostrych; rączki i nóżki miała małe jak u dziecka. Męża ubóstwiając, kokietowała jednak na prawo i lewo, wodząc za nos całe zastępy adoratorów. Bezdzietna, nadzwyczaj majętna, żona ulubieńca dworu i adjutanta cesarza, kilka lat z rzędu była królową mody w Paryżu. Istny to był Chochlik, figlarny, dowcipny, kapryśny, a częstokroć i nie jednemu dokuczliwy. Nic przecież zarzucić jej nie można było, coby męża na serjo dotykało, patrzał też z uśmiechem pobłażliwym na jej wybryki, żartował z nią razem z nieszczęśliwych adoratorów, i bawił się w najlepsze, ze swoją — jak ją zawsze nazywał — piękną, ale dziką cyganeczką.

I teraz wpadła jak bomba, a lampę na pjaninie postawiwszy, porwała w ramiona Blankę, ściskając ją aż do uduszenia, kilka razy z nią się po pokoju okręciła, wreszcie wpatrując się w nią z zachwytem:

— Przecudowną jesteś! — wykrzyknęła. — Gdybym tak była mężczyzną, u nóg bym twoich leżała, pókibym

twojego serduszka nie zdobyła. Twojej matki w salonie nie zastawszy, porwałam lampę ze stołu i pobiegłam do twojego *Sanctuarium*. Wiesz, straszny ten wasz dom! Te mury czarne, okopcone, te wązkie schody marmurowe, to sklepienie, które zdaje się jakby ci na głowie leżało!... i ty tu sama mieszkać możesz, w tym twoim gołębniku? Jabym pierwszej nocy ze strachu umarła!... *Apropos* dziecię! mam miejsce wolne w loży. Patti spiewa Gildę w Rigolleto. Jedziesz ze mną? Nie!... nieubłaganaś. No, choćbyśmy później weszły, tym większy efekt!... Ale jutro bądź gotowa, koniecznie! Pojedziemy na spacer o trzeciej, wiesz gdzie? Do młynów twojego *vis á vis* pana Michaud. A wiesz po co? Oto gonić wampira, który mnię olśnił, oczarował, i którego gwałtem potrzebuję, do obrazów z żywych osób, u ministrowej S. przezemnie aranżowanych. Jak raz na Mefista przyda mi się ten jegomość Ha! ha! ha! jak ty na mnie patrzysz zabawnie! Myślisz na pewno, że ciotka do reszty oszalała! Poczekaj, opowiem ci wszystko porządkiem. Kilka dni temu, na obiedzie u prezydenta C., przedstawiają mi jakiegoś de Lussac. Mówię ci, wampir cały! Oczy i włosy czarne, jak piekieł czeluście, na wskroś człowieka świdrują; sarkazm iście szatański w mowie, ale porywa i oślniewa nadzwyczajną znajomością ludzi i świata, jednem słowem: wywarł na mnie wpływ dziwny, magnetyczny. Robiłam mu niesłychane awanse, chąc go zwabić do siebie, i być pierwszą, która to niezwykłe zjawisko u dworu zaprezentuje, tymczasem dotąd się nie pokazał. Mój Jonasz, o ile mały, o tyle sprytny, wywiedział się, że bywa często ten jegomość zagadkowy u pana Michaud, i z nim jeździ do młynów. O trzeciej do miasta wracają. Otóż pojedziemy... przypadkiem tych panów spotkamy, a już ja się postaram, że się będą musieli zatrzymać.

— Ależ ciociu, na miły Bóg! — Blanka przestraszona, zdołała wreszcie przerwać słów kaskadę. — Czyż to wypada? O tym panu nic nie wiemy co to za jeden, a o panu Michaud mama wspomnieć nawet nie pozwoli.

— Tem więcej interesujące będzie z nim spotkanie. Nic tak rozkosznie nie smakuje, jak owoc zakazany. Ejże! Czemuś takiego ślicznego raczka spiekła? Ty, ty *Sainte Nitouche!* Czyżbyś zauważyła już sąsiada z naprzeciwka? Nie drżyj że tak dziecię! Ja cię przecie nie zdradzę, raczej dopomogę. Romeo i Julja! Jak to brzmi cudownie! Stara to bajka, a jednak wiecznie powtarzająca się historja, że miłość zwycięża nienawiść, przesądy i jak światło słoneczne rozprasza ciemności.

— Gdzie też znowu ciocia w swojej bujnej fantazji zaleciała — odparła Blanka z niechęcią. — Nie znam przecie zupełnie pana Michaud.

— Ale go poznać możesz, zaraz jutro. Zaproszę tych panów do siebie, a następnie do was wprowadzę.

— Mama z pewnością na żadnego nic pozwoli.

— Otóż mylisz się. Widziała mego wampira, jak przejeżdżał tędy na swoim karym wierzchowcu, którego nazwał Lucyperem; dopytywała się o niego, i bardzo pragnie bliżej go poznać.

— To coś nadzwyczajnego! Mama tak zwykle ostrożna w zabieraniu nowych znajomości. Więc to ten brunet na czarnym koniu, który nieraz tędy przejeżdża? Nie wiem czem się też ciocia tak zachwyciła! mnie on się wstrętnym wydaje. Złość i fałsz uosobistniony!

— Może... ale na Mefista doskonały! A pamiętaj, że będziesz Margaretą, z pięknym hrabią Perçi. Ja tu gawędzę bez końca, i wreszcie gotowi mi zamknąć teatr pod nosem. Szkoda by było mojej toalety. Do jutra dziecię!

— Sprowadzę ciocię na dół — rzekła Blanka, biorąc lampę ze stołu.

* * *

Przyjemnie to, w piękny dzień wiosenny, siedząc w wygodnym powozie, pędzić siłą dzielnych rumaków z ptakami o lepsze, napawać oczy wdziękami młodej przyrody, wciągać w płuca wonne powietrze, czuć na czole chłodzący powiew wietrzyka.

Takiej błogości Blanka nazajutrz doznawała, a chociaż wsiadła dziwnie rozstrojona i rozgorączkowana, jakgdyby coś złego popełniała; powoli dziwny spokój ją ogarniał i słodkie sny po główce się roiły.

Z oczami na pół przymkniętemi, wciśnięta w głąb powozu, marzyła o tej wiośnie, która ją całą swoją krasą otacza, o swojem życiu, dotąd tak smutnem i bezbarwnem... Czy też i dla niej nadejdzie kiedy wiosna prawdziwa, szczęście, które w całej pełni jedynie miłość wzajemnie odczuła zapewnić może? Ileż cierni jeszcze na jej drodze, ileż przeszkód do zwalczenia... Czy on ją kocha zresztą... Ale dlaczegożby co dzień o jednej godzinie pojawiał się w okienku naprzeciw jej wieży? Może go nęcą jedynie róże kwitnące?...

Irma kręciła się za to, jak motyl na igle upięty. Dla niej każda kontemplacja wydawała się nonsensem, a zabawianie się własnemi myślami trudem nad siły Jej żywy temperament żądał ludzi, towarzystwa, droczenia i żarcików. Samotności znieść nie mogła, marzyć wcale nie umiała.

— Czwarta godzina, i dotąd nikogo! — wołała wreszcie z ciężkiem westchnieniem, wachlarz gwałtownie składając.

Wychyliła się nagle z powozu, i śmiechem wybuchła:

— No! wzięłam wózek z jarzynami, za świetnego de Lussac, a jakiegoś suchego woziwodę, za tegoż ognistego rumaka.

— Któż bo widział cioteczko droga, tak się okropnie niecierpliwić! — zaśmiała się Blanka figlarnie. — Jakże by dumnym był ów zagadkowy pan de Lussac, gdyby wiedział, jak jest gorączkowo oczekiwany, a ile by mu to wrogów zazdrośnych przysporzyło!

— Patrzcie, jak się tej małej ząbki przecierają! — uderzyła ją Irma po ręku wachlarzem. — To wszystko zapał artystyczny, niepokój reżyserski. Muszę go złapać na Mefista! Ale otóż i oni!

Pochwyciła nerwową dłonią ramię Blanki, drugą

ręką, wachlarzem uzbrojoną, od słońca się zasłaniając.

— Nawróć! — krzyknęła rozkazująco woźnicy — i jedź wolniej! Popatrz że się Blanko. Jaka też ty nieznośna!

— Ależ nie znam tych panów — odrzekła Blanka półgłosem, a szkarłat oblewający jej bladą dotąd twarzyczkę, zadawał kłam jej słowom. Irma jednak zanadto była w tej chwili zajęta, aby zwrócić na to uwagę.

— Baczność! — zakomenderowała poważnie — Znasz, nie znasz, odkłonić się możesz, gdy nas pozdrowią z uszanowaniem przynależnem. Wracamy niby nigdy nic ze spaceru... spotykamy się przypadkiem... zawiązuje się rozmowa najniewinniej... wy gruchacie po jednej stronie powozu, ja tymczasem kokietuję i usidlam Mefista. Tylko mnie resztę zostaw...

W samej rzeczy dwaj jeźdźcy zbliżali się również stępo, żywo rozmawiając. Na widok Blanki, tak niespodziewany, drgnął Leons, fizjonomja nagle mu się rozjaśniła, jak gdy chmurny dotąd widnokrąg, słońce całym blaskiem opromieni, przedarłszy się przez całun szary. Zmiana ta nie uszła bacznemu oku jego towarzysza. Uśmiech sarkastyczny zaigrał na jego wązkich ustach, prędko jednak zdjął kapelusz, aby z całą galanterją pozdrowić piękną hrabinę. Ta tymczasem leżąc na miękich poduszkach, z nonszalancją wielkiej damy, bawiła się zwiniętym wachlarzem, kołysząc go na palcu. Gdy wychyliła się z powozu, aby oczkami przymrużonemi kokieteryjnie, oddać ukłon za ukłon, wachlarz z palca się ześliznął, i upadł pod końskie kopyta.

— Gubisz wachlarz hrabino — zawołał żywo de Lussac, i konia przytrzymując, skoczył lekko na ziemię, aby podnieść i oddać zgubę.

Irma z uśmiechem czarującym podziękowała:

— Ach! to pan de Lussac! — zawołała — nie mogłam pana poznać, mimo dobrych oczów, i dnia jasnego.

— Dosyć szczęścia dla mnie — odrzekł Maks z galanterją — jeżeli w ogóle pani raczyłaś bodaj nazwisko zapamiętać. O tę wielką łaskę, aby uzyskać bodaj mały kącik w twojej pamięci, tysiące się ubiegają. Czy pozwolisz pani, abym jej towarzyszył do miasta?

— I owszem! — z gracją główkę skłoniła. — Nudno samej jechać. Przedstawię pana siostrzenicy mojego męża, pannie de Nangis. Blanko! Pan de Lussac.

Skłonił się z uszanowaniem, a przywołując niemym ruchem ręki swojego towarzysza, rzekł:

— Panie pozwolą... pan Leons Michaud.

Blanka oczy podniosła, dotąd długą rzęsą przysłonięte, i na chwilę skrzyżowały się spojrzenia dwojga młodych ludzi. Znowu złapał tę przelotną błyskawicę w oczach Leonsa, wzrok bystry pana de Lussac, i zanotował w pamięci wraz ze ślicznym Blanki rumieńcem, który oblał jej twarzyczkę, pod gorącym promieniem ócz Leonsa.

Irma zręcznie manewrując, wzięła Mefista w wyłączne posiadanie, drocząc się z nim i zagadując o to i owo, a Leons zwrócił konia na drugą stronę powozu.

— Zdaje mi się, iż jestem na tyle szczęśliwym, mieszkać naprzeciw pani — rzekł z cicha, ku Blance się nachylając.

Drgnęła nerwowo, słysząc po raz pierwszy dźwięk głosu jego, pełny, męzki, chociaż cokolwiek wzruszeniem stłumiony. Dotąd tylko we śnie głos Leonsa słyszeć jej się udawało.

— Tak — odrzuciła z dziecięcą prostotą. — Znam pana z nazwiska, i chętnie wpatruję się w dom pański. Jaka to piękna, starożytna budowa.

Leons utonął w tych cudownych źrenicach, patrzących tak spokojnie, a tak łzawo. I on raz pierwszy zobaczył z bliska czarodziejkę, która dotąd wśród róż pojawiała się co dzień na krótką chwilę. Jakaż dobroć anielska malowała się w tych oczach gazeli, jaki urok czystości i dumy dziewiczej, owiewał ją całą. Była ona istnem wiosny wcieleniem.

— Pan de Lussac — zaczął znowu Leons po chwili — odkrył różne skarby w moim domu, o których mnie się dotąd ani śniło. Drzwiczki sztucznie boazerją skryte, a prowadzące schodkami kręconemi do piwnic suchych, doskonałych, jakby mieszkania w suterenach...

— O! podobnych niespodzianek nie braknie w domach z czasów średniowiecznych — przerwała mu Blanka, ochłonąwszy cokolwiek z wrażenia pierwszego. — Ciocia Irma boi się chodzić sama po naszym pałacu, utrzymując, że w takich starych domach można łatwo natrafić na jaką ukrytą pułapkę, i zapaść się w głąb pieczar tajemniczych.

Uśmiech figlarny zaigrał na jej różanych usteczkach, ośmielona spokojem Leonsa, patrzyła mu w oczy bez bojaźni i pomięszania pierwotnego.

— Pokój w wieży, to pani królestwo, nieprawdaż? — badał dalej Leons.

— Nie inaczej. Mama oddała mi go w wyłączne posiadanie. Poznosiłam tam moje skarby, nuty, książki, kanarki i portret mój ukochany.

— Blanko! — odezwała się Irma, aby mieć sposobność obejrzenia dokładnego pana Michaud, który mimo, iż zajęła się wyłącznie swoim czarnym towarzyszem, budził w niej również pewny interes. — Nie wiesz kiedy pierwsza próba żywych obrazów?

— Za trzy dni o ile mi się zdaje — odrzekła Blanka drgnąwszy na głos wujenki, jakby się ze snu nagle ocknęła.

— Czy to ten portret, który wisi na przeciw okna? — spytał cicho Leons.

— Ten sam; portret mojej imienniczki, Blanki de Nangis.

— I pani zaliczasz go do swoich skarbów? — nachylił się tak nisko, iż prawie do ucha jej szeptał. — A czy znasz pani historję tej... Blanki de Nangis?

Brwi zmarszczył, mierząc okiem surowem prawie i przenikającym, piękną dziewczynę.

— Czy wymówią te dumne usta, nasze plebejuszowskie nazwisko? — pomyślał w duchu.

Blanka jednak nie dała się tem odstraszyć. Z lubą prostotą, chociaż drżącym cokolwiek głosem, mówić zaczęła:

— Znam smutne dzieje Blanki Michaud, pańskiej prababki, i właśnie kocham ją za to, że potrafiła wznieść się po nad kastowe przesądy, a znalazłszy serce godne jej miłości, poświęciła wszystko dla ukochanego. Znalazłam ten portret na strychu, w największej poniewierce, i zabrałam go pokryjomu do mojej świątyni pamiątek. Tak nam dobrze razem. I moja młodość samotna, smutno przechodzi — spuściła główkę, aby ukryć dwie łzy, które w oczach zalśniły — znamy się, i pocieszamy wzajemnie, dwie Blanki.

— Biedna męczennica błogosławi pani z lepszego świata, za tę cześć i za tę miłość! — szepnął Leons drżąc od wzruszenia — a i ten ci błogosławi, który w zaślepieniu samolubnem, sięgnął po kwiat egzotyczny, nie dla niego wychowany, aby mu zwiądł przed czasem we łzach i boleści.

— O! nie mów pan tak o nim — zaprotestowała żywo Blanka. — Czyż nie dał jej skarbu najwyższego dla kobiety, skoro serce jego posiadła? Lepsza chwila przelotna szczęścia prawdziwego z ukochanym, choćby ją przyszło łzami okupić, niż wegetowanie bezmyślne, bezmiłośne, nawet gdyby świat nas otoczył całym swoim blaskiem zwodniczym.

W uniesieniu pochylił się Leons i nieznacznie przycisnął usta do rączki Blanki, która na krawędzi powozu spoczywała.

— Panie Michaud! — usłyszał głos Irmy.

— Co pani rozkaże?

— Najprzód, chcę pana przestrzedz, iż wpadniesz do rowu — uśmiechnęła się złośliwie hrabina — a potem chcę panu zadać kilka pytań.

Leons rzucił okiem po za siebie. W samej rzeczy stał koń jego na samej krawędzi głębokiej fosy, którą droga murowana była z dwóch stron otoczoną. Spostrzegł drwiący uśmiech Irmy i jej towarzysza, i krew gorącą falą do głowy mu uderzyła. Pomknął na drugą stronę powozu, zwróciwszy zręcznie rumaka nad samą przepaścią. Chciał pokazać, że umie przecież koniem kierować. Hrabina przyjęła go uśmiechem i żarcikami, które tak lubiła.

— Jaka to musiała być interesująca rozmowa, którą państwo ze sobą prowadzili, kiedyś pan wśród niej o przepaści nawet zapomniał; a może woń kwiatów przydrożnych, tak pana upoiła?

— Prawda pani — odrzekł Leons z dziwną powagą. — Tak rzadko spotykamy na naszej drodze kwiat wiosenny, z całą jego krasą nietkniętą i nie startą ostrym i trującym świata podmuchem, iż nie dziw, że gdy nam los łaskawy pozwoli bodaj na chwilkę ujrzeć kwiat tak cudowny, woń jego i świeżość przytomność nam prawie odejmuje. Szczególniej ja, żyjąc tak samotny, mogłem uledz temu wpływowi niezwykłemu.

— Słyszałam o pańskiej stracie — Irma spojrzała ze łzą w oku na pięknego młodzieńca. Widząc smutek jego nieudany, odpadła ją chętka do dalszych żarcików i prześladowań — Umiałam współczuć z panem, bo i ja przed dwoma łaty klęczałam zrozpaczona u stopni katafalku, na którym matka moja najdroższa leżała. Mnie utulił i upieścił mąż poczciwy, otoczyli troskliwą opieką znajomi i przyjaciele, a pan że niemasz nikogo?

— Nikogo pani, prócz starej mojej piastunki. Pan de Lussac był pierwszym, który raczył zgłosić się do mnie, i jemu to zawdzięczam dzisiejsze spotkanie, niezatarte w mojej pamięci — dodał jakby sam do siebie.

Ton jego mowy tak niezwykły swoją otwartością, pociągnął ku Leonsowi sympatycznie, poddającą się łatwo każdemu wrażeniu Irmę.

— Pan de Lussac chce się rzucić w wir światowy, i mnie prosi w tym względzie o protekcję. Obiecał mi się jutro na wieczór. Skoro jednak pan tak samotność ukochałeś, nie śmiem nawet przypuścić, żebyś chciał podzielać nasze światowe rozrywki, i przyjął moje serdeczne zaproszenie.

— O pani! — zawołał Leons z zapałem. — Zerwałem z ludźmi pospolitymi, bo mnie tylko goryczą poili, nie wyrzekłem się przeto czci i uwielbienia dla aniołów ziemskich, któremi panie jesteście. Będę korzystał z wdzięcznością z jej łaskawego pozwolenia i jutro stawić się nie omieszkam.

— Będziesz mi pan zawsze gościem nader miłym i pożądanym — zapewniła Irma, patrząc na niego z zadowoleniem.

Blanka nie posiadła się z radości. Więc będzie go widywała, będzie z nim mogła rozmawiać! Aby się nie zdradzić, nie śmiała więcej oczów podnieść i przemówić do Leonsa. Zwróciła się zatem do pana de Lussac, chociaż czuła instynktowo, jak ją coś odpycha od tej figury zagadkowej a wstrętnej.

Pan de Lussac, tonem sarkastycznym, rozwijał przed nią teorję o dziwnym wpływie wiosny nie tylko na budzącą się naturę, po długim śnie zimowym, ale w ogóle na serca i umysły ludzkie, jak pod jej tchnieniem ożywczem, miłość w sercach rodzi się w jednej chwili, rozwija się i ogarnia płomieniem nieugaszonym...

Blanka słuchała roztargniona, a w duszy jej brzmiał *Chant de Mai* Meyerbeer'a i słowa jego końcowe: *Amour*, *amour*, *amour!*

VIII.

PAJĄK SNUĆ SIECI ZACZYNA.

Nie odrazu i nie za dzień jeden, zdobył Maks de Lussac zaufanie Leonsa. Powoli jednak topniały lody, umiał zręcznie usuwać z umysłu Leonsa wszelką podejrzliwość, potrafił go sobie ująć delikatnem i pełnem taktu postępowaniem. Niby w nic się nie wtrącał, o nic nie pytał, a na wskróś przenikał naturę Leonsa szczerą i otwartą.

Niedługo stał się jego nieodłącznym towarzyszem,

rozrywał go znosząc miejskie płoteczki, pomagał w interesach, załatwiał nie jedną sprawę, gdyż był biegłym prawnikiem, jednem słowem: stał się niezbędnym Leonsowi.

Dotąd jakoś nie mógł znaleźć nic odpowiednego, majątek zaś w ziemi, wydzierżawił, jak utrzymywał. Cały więc czas poświęcał na Leonsa usługi.

Razem byli u hrabiny Irmy; margrabina de Nangis zaledwie głową skinąć raczyła, gdy przedstawiając jej gościa, brat wymówił nazwisko nienawistne. Hrabia Kervadek przyjął Leonsa grzecznie. Słyszał wiele o dawniejszem jego życiu hulaszczem, dziś więc mimowoli czuł szacunek dla młodzieńca, który o własnych siłach, tak skutecznie potrafił otrząsnąć się z dawnych nałogów, tak szczerze wziął się do pracy. Brat był już dzieckiem swojego stulecia, siostra dotąd trzymała się tradycji feodalnych.

Biedna Blanka smutną była przez ten cały wieczór, a tyle sobie z niego obiecywała! Obecność matki paraliżowała ruch jej każdy, słowa na ustach zbladłych zamierały, do tego i oczy złowrogie Maksa de Lussac, z częsta śledzić się ją zdawały. Leons również nie śmiał się zbliżyć do niej, chociaż gospodyni domu wielce go do tego zachęcała. Za dumny był, aby się komuś narzucać, aby się korzyć i narażać na impertynenckie lekceważenia nieprzejednanej arystokratki.

Mimo namowy Lussac'a nie wrócił więcej do hrabstwa Kervadek, zamknął się znowu, ściślej niż kiedykolwiek, i cały w pracy utonął.

— I do czego to wszystko! — perorował dnia pewnego Lussac, zastawszy Leonsa wieczorem nad stosem papierów przy stoliku. — Stracisz pan zdrowie, ztetryczejesz, i wreszcie nigdy do pięknej Blanki nie zbliżysz się tym sposobem.

— I tak dla mnie na wieki stracona — mruknął z niechęcią Leons.

— Dla czego? Otrząś się pan tylko z tej melancholji, bywaj w świecie jak dawniej... nie mówię chroń Boże! byś miał brać karty w ręce... skoroś raz matce przysiągł na łożu śmiertelnem, to rzecz święta!... ale można klub odwidzać, wypić butelkę wina z przyjaciółmi...

— Jeszcze się znajdzie i w moich piwnicach nie jedna beczka nietknięta — przerwał mu z dumą Leons.

— Nie wątpię o tem. Zanadto cenię pańskich antenatów, abym nie wierzył, iż każdy z nich piwnice w ten boski trunek zaopatrywał; inaczej jednak kieliszeczek smakuje w gronie wesołem. Wierzaj pan mojemu staremu doświadczeniu. Im więcej ludzi unikasz, tem bardziej tobą się interesują, a zawsze na najgorsze. Nie uwierzył byś pan, jakie wersje najrozmaitsze krążą o tobie.

— I czegoż jeszcze chcą odemnie! — tupnął nogą Leons zniecierpliwiony.

— Abyś nie wyłączał się od społeczeństwa, abyś tak żył jak inni żyją. Żałoba dawno skończona, dla czego się chować przed wzrokiem ludzkim? dla czego nie rzucić światu śmiało rękawicy, i nie stanąć wszem w obec z otwartą przyłbicą? Po pracy koniecznym jest wypoczynek i rozrywka. Gotowi myśleć, iż pan Bóg wie co knujesz, lub jakie zbrodnie masz na sumieniu, skoro tak stronisz od towarzystwa. Czy to panu pomoże w umyśle margrabiny, iż pana nikt, nigdzie nie widzi? Przeciwnie, gdy zewsząd usłyszy, o bogatym, świetnym, wzbudzającym interes u kobiet, a zazdrość u mężczyzn, Leonsie Michaud, prędzej pogodzi się z tą myślą, aby wydać córkę za pana.

— Może to i prawda! — zamyślił się Leons. — Od dziś zacznę inne życie. Chodźmy do klubu!

IX.

SAM NA SAM.

Wiosna, również jak każda piękna kobieta, miewa kaprysy i złe humory, to też po dniach przecudnej pogody, nagle zmieniło się powietrze, wicher północny huczał ponuro, ciężkie, ołowiane chmury, kłębiły się po niebie, a deszcz lał strumieniami. Od godziny już we wszystkich oknach lampy płonęły, tylko w budoarze panny Chênois, dotąd prócz słabego światełka lampki różowej, u sufitu zawieszonej, ciemności panowały.

Nie zdawała się być i ona w najlepszym humorze. Siedziała po turecku na nóżkach, wciśnięta na miękie poduszki otomanki, i od czasu do czasu rzucała swojemu małemu King-Charle pantofel na głowę. Biedny psina za każdym razem protestował bolesnym piskiem, przeciw tej zabawce barbarzyńskiej, za którą wprawdzie dostawał po kawałku biszkopta, ale nie mniej radby był doczekać się jej końca.

Weszła Żaneta z lampą.

— Nie potrzebuję światła! — krzyknęła Heloiza niecierpliwie. — Kto ci kazał lampę zapalać? Weź ją sobie, i zabierz także tego psika wyjącego. Muszę komu darować to psiarstwo wiecznie piszczące, a kupię sobie doga duńskiego. Te małe pieski do niczego!

Porwała za kark faworyta, i wrzuciła wcale nie delikatnie w ramiona Żanecie.

— Biedny *Molly!* — szepnęła tuląc pieska Żaneta. — Uciekajmy czem prędzej, bo pani czemuś bardzo zadąsana i gniewna.

Samą zostawszy Heloiza, zaczęła niecierpliwie biegać po pokoju:

— Gdzie ten nicpoń znów siedzi — mruczała przez zęby zaciśnięte. — Obstalowałam go na siódmą, dziesiąta dochodzi, a jego dotąd niema. Zapomina łotr zuchwały, że go trzymam w ręku, i każdej chwili zgubić mogę..

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.